

Anna Dymna o tym czego potrzebuje ciężko chory człowiek...

Nie wiem, jak się mam zwracać do takiego gremium, bo jeszcze przed takim nie występowałam. Nie mam przygotowanego żadnego wykładu, bo nie umiem mówić wykładów na takie trudne tematy. Jestem aktorką i zwykle mówię mądre teksty wspaniałych poetów, dramaturgów, staram się je zrozumieć i mam jeszcze reżysera, który mi mówi, jak mam te teksty grać. Dlatego nie jest mi łatwo. Myślę, że zaproszono mnie na to spotkanie nie dlatego, że jestem mądra i mam prawo do Państwa przemawiać, ale dlatego że od 2003 r. prowadzę w TVP2 program „Spotkajmy się”, moimi gośćmi są ludzie, którzy cierpią i umierają. Zanim zaczęłam realizować ten program pracowałam już z ludźmi niepełnosprawnymi intelektualnie. Telewizja wiedziała, że się takich tematów nie boję, dlatego mi to zaproponowała. I po tych wszystkich latach muszę się przyznać, że jest to najtrudniejsza rzecz, którą do tej pory robiłam. Ten program nauczył mnie otwarcia się na drugiego człowieka. Spotykam się w nim z ludźmi, z którymi spotykają się również kapelani szpitalni. Czyli z ludźmi cierpiącymi, nie rzadko też śmiertelnie chorymi. Zawsze staram się z każdym z nich zaprzyjaźnić. Jeśli nie mam na to czasu, to go znajduję. Jadę do szpitala, do domu. Dowiaduję się wszystkiego o ich życiu, o tym obok kogo żyją, co kochają. Dowiaduję się o ich marzeniach i dopiero wtedy mogę rozmawiać o ich bólu, o tym czego się najbardziej boją. Dlatego tutaj teraz stoję. Pomyślałam sobie, że gdybym była kapelanem i stałabym w obliczu sytuacji, w której nie można już nic powiedzieć, to wspierałabym się wierszami ks. Jana Twardowskiego o wierze, nadziei i miłości. To są najprostsze słowa, które brzmią tak, jakby pisało je dziecko dotykające najważniejszych spraw. W połowie z nich ks. Twardowski dotyka tematu cierpienia i śmierci. Píše o lęku, jaki w tych momentach życia nam towarzyszy. To jest taki mój katechizm. Kiedy nie mogę czegoś zrozumieć, sięgam do tych wierszy, czytam je i milczę... Mówiąc o cierpieniu, warto też zajrzeć do najnowszej książki prof. Andrzeja Szczeklika pt. „Kore”.

Rozmowy z ciężko chorymi ludźmi nauczyły mnie, że taki człowiek nie chce wcale mówić o cierpieniu, czy o tym co go fizycznie boli, bo jakoś sobie z tym radzi, ci ludzie mówią o tym, że najbardziej boli ich samotność. Nie ma większego cierpienia w obliczu choroby. Mówiła o tym m.in. Matka Teresa z Kalkuty. Samotność boli najbardziej...

Jeśli człowiek jest przewlekle chory, to może się do tego cierpienia jakoś przyzwyczać, odnaleźć w nim sens. Jakiś czas temu rozmawiałam z człowiekiem chorym na zespół Huntingtona i kiedyś zapytałam go: „Robert, ty wiesz jak poważna jest twoja choroba?”. Odpowiedział mi: „Tak, powoli będę się zamieniał w roślinę. Będę tracił komórki mózgowie”. Zaczęliśmy rozmawiać o strachu. O tym, jak on się nauczył żyć z myślą, że za dwa lata, a może za rok, może go już nie być. I ten, tak poważnie chory człowiek mówił mi, że się nie boi, bo nie jest sam, obok miał kochającą rodzinę – żonę i dwójkę małych dzieci – która z nim była i go wspierała. Zapytałam go, o czym chciałby rozmawiać w programie, odpowiedział: „Jak to o czym? O tym, jakie piękne jest życie!”.

Cierpiący człowiek wie o tym, że każdy dzień, każdy oddech jest ważny. Najgorzej kiedy wielkie cierpienie spotyka nas nagle. Kiedy nie mamy czasu się z nim oswoić. Wśród moich rozmówców był człowiek, który w wieku 16 lat wskoczył do wody i został całkowicie sparaliżowany. Żyje tak już od 30 lat. Ma żonę, pielęgniarkę. Opowiadał mi, że kiedy się to stało, obwinał wszystkich: Boga, ludzi, cały świat. Pytał dlaczego to się przydarzyło właśnie

jemu. A dziś mówi o tym, że Bóg wiedział co robi, pozwalając, aby spotkał go ten wypadek, bo gdyby nie on, to byłby teraz złym człowiekiem. A tak, stara się żyć dobrze...

Niestety wielu ludzi, w obliczu cierpienia i śmierci jest samotnych i to jest najstraszniejsze.

O tym muszą pamiętać osoby, które się do nich zbliżają. Możliwe, że mi jest łatwiej z nimi rozmawiać, bo – jak już powiedziałam – wcześniej się z nimi zaprzyjaźniam. Lekarz nie ma czasu, żeby się zaprzyjaźnić z pacjentem. Z danych wynika, że średnio dla każdego

z pacjentów lekarz w Polsce ma około 6 minut. To w jaki sposób on może wiedzieć, kim jest ten chory człowiek? Dlatego tak ważny jest w szpitalu kapelan. Dlatego jest tak potrzebny...

Co roku jeżdżę do jednego z największych szpitali rehabilitacyjnych w Polsce. Nie będę mówić, gdzie on jest. Znajdują się tam ludzie w bardzo ciężkim stanie. Jest tam m.in. sześć oddziałów neurologii, są oddziały paraplegii. Dopóki odbywają się zabiegi, to widać tam jakieś życie. Ale kiedy zbliża się godz. 16.00, 18.00, to po korytarzach przemykają tylko jakieś cienie, z sal dobiegają jęki, krzyki i nie ma nikogo, kto by z tymi ludźmi porozmawiał. A oni nie potrzebują iść rano do gabinetu psychologicznego, bo tam taki gabinet jest, oni potrzebują, żeby ktoś do nich przyszedł i żeby z nimi był. Ta ich samotność w cierpieniu jest nie do zniesienia. Kiedyś poszłam na jeden z takich oddziałów, bo mnie poproszono, żebym odwiedziła dziewczynę, która była w śpiączce po ciężkim wypadku. Leżała z otwartymi oczami. Ktoś mi powiedział, że lubiła filmy, w których grałam. Liczono na to, że może jej mózg jakoś zareaguje na moją obecność. Nie będę opowiadać o tym, co się tam wydarzyło. Ale kiedy stamtąd wyszłam do patio, zaczęli tam przyjeżdżać ludzie na wózkach, którzy chcieli porozmawiać. Nikt nie chciał żebym go pouczała albo coś doradzała, chcieli mi tylko opowiedzieć o sobie. Chcieli, żebym ich wysłuchała, żebym z nimi pobyla. Siedziałam tam do pierwszej w nocy. Wtedy też pomyślałam, że obecność drugiego człowieka jest w cierpieniu najważniejsza! Nie trzeba żadnych pytań, czy mądrych słów, nie trzeba straszyć, oczekiwać, wystarczy tylko być... Myślę, że nie trzeba też pytań w stylu: „czy byłeś ostatnio u spowiedzi?”. Bo jeśli człowiek jest wierzący, to prędzej czy później on o tę spowiedź poprosi. Jedno mogę powiedzieć na pewno, że ludzie, którzy wierzą, są szczęśliwsi, spokojniejsi, bo oni wiedzą, że nie są sami.

Poznałam kiedyś Halinę, która cierpiała na wrodzone nadciśnienie tętnicze. Strasznie cierpiała całe życie. Miała specjalną pompę, która podawała jej leki przeciwbólowe, ale te leki nie przynosiły już żadnych efektów. Halina była niewierząca. Na korytarzu w szpitalu opowiadała mi, że któregoś dnia podczas obierania ziemniaków coś jej się takiego stało, że uwierzyła i zrozumiała sens cierpienia. Nie wie, co się stało. Nagle zrozumiała, po co jest cierpienie, po co jest Jezus i poczuła się wybrana. Nie potrafię tego opowiedzieć tak, jak ona to mówiła. Ale piękniejszych słów w życiu nie słyszałam...

Kiedy moja mama umierała przez 3 miesiące, była całkowicie sparaliżowana. Ale słyszała i rozumiała, porozumiewała się ze mną spojrzeniami. Pani doktor mi wtedy powiedziała: „Co pani jej czyta *Kubusia Puchatka*, przecież ona i tak nic nie rozumie. To jest roślina”. A moja mama rozumiała i słyszała wszystko. Ona rozpoznawała nawet moje kroki na korytarzu. Wiedziała dokładnie, kiedy do niej idę. Pani doktor nic o mamie nie wiedziała, bo nie miała dla niej czasu. Dopiero kiedy mama zachorowała na zapalenie płuc, pani doktor zorientowała się, że reaguje na wszystkie jej polecenia: „Oddychać, nie oddychać, oddychać szybko”.

I było jej wstyd. Przepraszała. A ja z moją mamą robiłam wszystko to, co ona kochała. Intuicyjnie wiedziałam, czego potrzebuje. Pokazywałam jej zdjęcia, czytałam jej ulubione książki, puszczałam jej muzykę, którą ona lubiła, masowałam jej nogi, drapałam ją po głowie.

Mogłam to wszystko robić, bo wiedziałam, co ona przez całe życie lubiła. Umierający człowiek potrzebuje przede wszystkim bliskości...

Człowiek, który cierpi, sam zaczyna mówić o rzeczach najważniejszych. Niektórzy się boją zacząć taką rozmowę. Trzeba im dać do tego prawo. I trzeba – na pewno – kiedy jest się obok cierpiącego człowieka zapomnieć o sobie. Pięknie napisał to ksiądz Twardowski: „Zapomnij, że jesteś, gdy mówisz, że kochasz”.

Jan Paweł II, który sam cierpiał na oczach całego świata, powiedział kiedyś, że cierpienie to jest taki ogień, który wypala pole dla miłości i miłosierdzia. Chyba po to właśnie cierpienie jest – pomaga nam uporządkować hierarchię wartości albo ją odnaleźć. Robi miejsce dla miłości i zaufania. W takie pole wchodzi kapelan szpitalny. I to jest bardzo trudne, bo trzeba się na takiego cierpiącego człowieka całkowicie otworzyć, nie oceniać go, nie brzydzić się go. Kapelan, służąc cierpiącemu człowiekowi, służy samemu Bogu, to chyba najpiękniejsza postać...

To, że jestem aktorką, bardzo mi pomaga w rozmowach z ciężko chorymi ludźmi. Bo przez całe życie staram się zrozumieć drugiego człowieka. Staram się zrozumieć, dlaczego ta kobieta kocha, dlaczego cierpi, dlaczego zabiła, dlaczego jest nieszczęśliwa?... Robię to już 40 lat i myślę, że ten zawód pomaga się otworzyć na drugiego człowieka, bo go nie oceniam, nie potępiam, tak jak nie oceniam i nie potępiam ról, które gram...

Jestem pewna, że warto się zbliżać do chorych i cierpiących ludzi, bo w nich tkwi tajemnica sensu życia. Oni udowadniają, jak niezwykły jest człowiek. Widzę to choćby po Januszu Świtaju, który jest pracownikiem mojej fundacji. Ten człowiek nie chciał żyć, prosił o eutanazję, a teraz cieszy się życiem, mimo że nadal jest sparaliżowany i leży pod respiratorem, ale odnalazł w swoim cierpieniu sens. Dlatego jest szczęśliwy.

Gram teraz w przedstawieniu pt. „Król umiera”. Główną rolę gra tam Jerzy Trela, z jego ust padają pytania człowieka, który umiera, który błaga o to, aby ktoś pomógł mu przejść na drugą stronę. Królowa Maria, którą gram, wypowiada takie zdanie: „Każdy z nas umiera pierwszy”. W momencie przejścia na drugą stronę, każdy z nas tak naprawdę jest samotny, bo ten człowiek, który nadal żyje, nie może nas zrozumieć. Ale o ile łatwiej jest odchodzić, gdy obok jest drugi człowiek, ktoś kto trzyma nas za rękę...